

PRZED KATASTROFĄ

Wspomnienia żydowskiego dziecka z Poznania

HELMUT CWI STEINITZ

Wstęp i tłumaczenie
JACEK KUBIAK

Wspomnienia Cwi Helmuta Steinitza, poznańskiego Żyda ocalałego z Zagłady, to 400 stron druku. Zostały spisane dopiero kilka lat temu, w formie krótszych i dłuższych notatek, nie zawsze uporządkowanych, powstających w rytmie budzącej się pamięci. Kilkadziesiąt stron pamiętnika poświęconych jest Poznaniowi i latom dziecięcym tu spędzonym, aż do 12. roku życia, kiedy to wraz z matką Salomeą, ojcem Hermannem i bratem Rudolfem zostali osadzeni w obozie na Główniej i wywiezieni do Ostrowca w Generalnym Gubernatorstwie.

Helmut Steinitz urodził się w 1927 roku w Poznaniu. Jego ojciec Hermann pochodził z żydowskiej rodziny osiadłej od 200 lat na Górnym Śląsku, a matka Salomea (z domu Rein) – z rodziny kaliskich, a potem poznańskich Żydów. Ojciec, rocznik 1894, był ochotnikiem Wielkiej Wojny, służył w artylerii. Steinitzowie uważali się za Niemców, za członków niemieckiej mniejszości narodowej w Poznaniu przynależnych do kultury niemieckiej. Hermann Steinitz był nauczycielem literatury i języków w niemieckim Gimnazjum im. Schillera w Poznaniu. Ustawy norymberskie, odbierające prawa obywatelskie niemieckim Żydom, dosięgły Steinitza w Polsce – w 1935 roku stracił pracę. Pensje nauczycielom szkoły niemieckiej były wypłacane przez państwo niemieckie, a wskutek ustaw norymberskich wszyscy Żydzi zostali zwolnieni ze służby państwowej.

Jeszcze bardziej dramatyczną zapowiedzią odmiany losu było wypędzenie z Niemiec w październiku 1938 roku kilkunastu tysięcy obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Wielu z nich szukało schronienia i pomocy w Poznaniu, co było dużym wyzwaniem dla niewielkiej gminy żydowskiej i mocno odcisnęło się w pamięci autora pamiętnika.

Podstawą utrzymania rodziny w ostatnich latach przed wojną stały się korepetycje udzielane przez ojca i renta wypłacana mu wciąż przez państwo niemieckie za udział w wojnie na froncie zachodnim. Wtedy zresztą dopiero – po ustawach norymberskich

– Steinitzowie poniekąd „stali się” Żydami. I „stawali się” nimi, by tak rzec, coraz bardziej. Konfiskata mieszkań, wywózka do Generalnego Gubernatorstwa, zamknięcie w krakowskim getcie, selekcja, z której ocalał Helmut, tragedia rozstania z rodzicami i bratem, niewiarygodna scena, gdy Hermann Steinitz, wchodząc na *umschlagplatz*, rzuca w twarz esesmanom: „Wy zbrodniarze! Wy mordercy”!, śmierć rodziców i brata w Bełżcu to kolejne etapy losu niemiecko-żydowskiej rodziny z Poznania.

Helmut przechodzi potem przez obozy w Płaszowie, Oświęcimiu, Buchenwaldzie, Sachsenhausen. Cudownie ocalony przenosi się do Izraela i przybiera hebrajskie imię Cwi. Zawodowe życie zaczyna w kibucu, zostaje ogrodnikiem. Dziś żyje w Tel Awiwie. Publikuje wspomnienia, uczestniczy w spotkaniach poświęconych historii. Gdy po latach pokonał wewnętrzny opór przeciwko mówieniu o przeszłości, chce teraz, najlepiej jak potrafi, dopełnić „świętego obowiązku” i, jako jedyny ocalały, opowiedzieć historię swojej rodziny. Profesor Erhard Roy Wiehn z Konstancji, niemiecki wydawca pamiętników Helmuta Steinitza, pisze: „Historia rodziny Steinitzów jest z całą pewnością jedną z najbardziej niewiarygodnych, tragicznych i poruszających historii w autobiograficznej literaturze o Holokauście”.

W tym tomie publikujemy fragmenty pamiętnika oddające klimat życia niemiecko-żydowskiej rodziny w przedwojennym Poznaniu oraz relacjonujące wydarzenia bezpośrednio związane z wybuchem wojny, gdy kończy się bezpowrotnie idylla lat dziecięcych. Późniejsze losy rodziny – drogę ku Zagładzie i ocalenie Helmuta Cwi Steinitza – opiszemy w jednym z kolejnych numerów.

*

Żydzi i antysemityzm

Ojciec był filologiem i pedagogiem wielce cenionym i szanowanym w gronie swych kolegów i uczniów. To był świat, do którego z dumą należałem. Czasem słyszało się, że Żydzi to głównie ludzie interesu i że nie można ich zawsze traktować jako uczciwych. To były haniebne próby oczerniania całego żydostwa.

Przeważająca część żydowskich przedsiębiorstw w Poznaniu znajdowała się w centrum Starego Miasta, ale większość tamtejszych sklepów należała do polskich właścicieli. W Poznaniu, mieście z ok. 254 tys. mieszkańców (1930), żyło ok. 2,5–3 tys. Żydów rozsianych w różnych dzielnicach. Poza Starym Miastem, gdzie było kilka synagog, ich obecność była niemal niezauważalna.

Mój ojciec był nauczycielem, a naszym językiem ojczystym był niemiecki. Byłem szczęśliwy, że ojciec nie jest przedsiębiorcą i żyłem w naiwnym przeświadczeniu, że należymy do społeczności niemieckiej. Wiara żydowska nie miała w naszym domu żadnego znaczenia i nie przeszkadzała nam – dopóki ojciec był czynny w niemieckim Gimnazjum Schillera. Wierzyłem wówczas, że Niemcy są moją ojczyzną i najpiękniejszym krajem na ziemi. Kochałem język niemiecki, wspaniałe wiersze, pieśni i wszystko, co ten język wydał. Fascynowała mnie niezwykła muzyka kompozytorów niemieckich, która towarzyszyła mi od małości.

W oczach kolegów klasowych byłem na pewno Żydem, ale w pierwszych latach szkolnych nie odczuwałem jeszcze tej, skądinąd dla mnie niezrozumiałej, różnicy. Obecność ojca w szkole dawała mi szczególną siłę. Gdy docierały do mnie niesprawiedliwe oceny Żydów, było dla mnie tym ważniejsze, że jestem synem akademika. Dopiero gdy ojciec musiał przedwcześnie opuścić swoje sta-



Ryc. 1. Hermann Steinitz z synami na pl. Wolności, Helmut z palcem w buzi, fot. z ok 1932 r.

nowisko z powodu żydowskiego pochodzenia, doznałem olśnienia i zacząłem rozumieć rzeczywiste tło wrogiej postawy antysemitów.

Natychmiast po zwolnieniu ojca znalazłem się, wraz z kilkoma żydowskimi kolegami, na marginesie. Na przerwach byliśmy izolowaną grupką. Z początku ta nagła zmiana była dla mnie niewytłumaczalna – mówiliśmy tym samym językiem, należeliśmy do tej samej kultury. Kilkoro żydowskich uczniów miało „typowo aryjski” wygląd, a wśród Niemców trafiały się typy „prawdziwie semickie”. Nie było różnic w wyglądzie czy w zachowaniu. Ale nagle pojawiła się przepaść – lekcje spędzaliśmy razem, ale byliśmy poza społecznością klasową. Skąd brało się to zachowanie, skąd antyżydowskie uszczypliwości, obraźliwy dystans? Nawet jeśli w sumie były to tylko incydenty, to wystarczały, by wepchnąć nas w rozterki i wywołać poczucie, że jesteśmy tu niepożądani.

Uczniowie ojca nabrali dystansu, ograniczali się do mówienia „dzień dobry”. Nauczyciele, dawni koledzy ojca, niekiedy mnie o niego pytali, ale co miałem im mówić? Atmosfera zmieniła się, duma i blask przeminęły na zawsze, musiałem się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Zrozumiałem smutny fakt, że antysemitka presja nazistów sadzała na ławie oskarżonych całe żydostwo i pozbawiała je w Niemczech praw ludzkich. Ojciec był ofiarą ustaw norymberskich i w szczytowym punkcie swej zawodowej kariery musiał odejść z pracy. Trucizna nazistowskiej propagandy przeniknęła z całą siłą do Gimnazjum Schillera, ale uczniowie żydowscy mogli wciąż kontynuować naukę, mieliśmy nawet nadal naukę religii żydowskiej.

Oczywiście dzieci i młodzież nie wszystko brali tak poważnie jak dorośli, i łatwiej znosili nieprzyjemne przeżycia. To, że nie mogłem się już przyjaźnić z niemieckimi kolegami, nie przyprawiało mnie o ból głowy i tak miałem dość zajęć. Szkoła była dla mnie miejscem nauki, spędzałem w niej kilka godzin dziennie i, wysiadując w ławce, słuchałem nauczyciela i uczyłem się wykładanego materiału. Z takim pojęciem obowiązku chodziłem do szkoły, także po zwolnieniu z niej ojca. Ale ten gmach nie był już dla mnie tym, czym dawniej, byłem obcy wśród obcych [...].

Uroki Sołacza

Ogrody Poznania miały, zwłaszcza latem, moc przyciągania. Wielki teren ogrodowy znajdował się na Sołaczcu, poza miastem, gdzie często spędzaliśmy letnie niedziele. W centrum parku było duże jezioro z łódkami wiosłowymi i wspinała, ogrodową kawiarnią z widokiem na jezioro i otoczenie. Rozkoszą kawiarni było nie tylko obserwowanie przyrody i łódek, ale i delektowanie się zimnymi napojami i lodami. Główną atrakcją dla nas, dzieci, była przejażdżka łódką. Wiosłował ojciec [...]. Gdyby to od nas zależało, spędzalibyśmy na łodzi całe godziny, ale wypożyczało się je tylko na jakiś czas, zresztą ojciec miał i tak dość. Wzdłuż brzegu znajdowały się starannie utrzymane klomby z cienistymi ścieżkami i ławeczkami. Wiewiórki skakały z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, nagle przysiadają i gryzły orzecha. I dorośli, i dzieci lubili patrzeć na te miłe, zręczne zwierzątka.

Po krótkim wypoczynku szliśmy przez park w kierunku przystanku tramwajowego. Od czasu do czasu rodzice robili na chwilę przerwę i siadali na brzegu z zamkniętymi oczami. Wiała przyjemna bryza, panował święty spokój, syciłem się ożywczym wiatrem, nasłuchiwałem szmeru liści i śpiewu ptaków. To była przyjemność – oddać się naturze i przeżywać chwile szczęścia, których nie da się zapomnieć. Wiele dziesiątków lat później, gdy z moją rodziną kontemplanowałem przyrodę w takiej przyjaznej aurze, zrozumiałem moich rodziców i to, co wtedy czuli.

Żydostwo i niemczyzna

Nasza rodzina nie była wierząca, nie przestrzegała żydowskiego obyczaju, choć mama pochodziła z religijnej rodziny. Na Paschę kupowała okrągłą macę, którą podczas święta jedliśmy zamiast chleba, za czym wszakże nie przepadałem. Rodzeństwo matki kultywowało żydowskie święta i chodziło do synagogi. Kiedyś siostra matki zaprosiła nas na wieczerzę sederową. Byłem jeszcze mały i zapamiętałem tylko nieskończenie długą ceremonię, nic z niej nie rozumiejąc. Kilka razy odwiedziłem z matką Wielką Synagogę w dzień Święta Przyjaciół Tory (*Simchat Tora*).

Ojciec nie chodził do synagogi. Wiara i zwyczaje religijne nie były treścią jego życia. Nie potrafię powiedzieć, czym dla niego było żydostwo. Wielka część niemieckich Żydów nie była religijna i przynależność do żydostwa nie miała dla nich znaczenia. Wygląd ojca nie zdradzał w niczym jego żydowskiego pochodzenia, wręcz przeciwnie, wyglądał jak „prawdziwy Niemiec”. Wiem,



Ryc. 2. Dyrektorzy Gimnazjum im. Schillera na wycieczce w 1933 r., od lewej: Hermann Steinitz, dyrektor Dietrich Vogt i mgr G. Schulz

że w duszy był Niemcem i żył prawie całe życie jak Niemiec. Imię i nazwisko również nie wskazywały na pochodzenie żydowskie. Urodził się w Niemczech i tam wzrósł, dla niego to była ojczyzna. Podziwiał niemiecką kulturę, był z nią związany intelektualnie i emocjonalnie. To nie przypadek, że w czasie I wojny światowej jako młody patriota zgłosił się na ochotnika do wojska i cztery lata służył w artylerii na froncie zachodnim.

Po wojnie ojciec studiował filologię na uniwersytecie wrocławskim i wykształcił się w trzech językach: niemieckim, angielskim i francuskim. Jako dyplomowany nauczyciel gimnazjalny objął swą pierwszą (i ostatnią) posadę w Gimnazjum Schillera w Poznaniu. Żydostwo nie było przeszkodą, całą swą wiedzę, intelekt i ambicje pedagogiczne poświęcił nauczaniu i administrowaniu w szkole mniejszości niemieckiej w Poznaniu. Kultura i moralność narodu niemieckiego, które w oczach ojca symbolizowały punkt szczytowy rozwoju ludzkości, istniały tylko w fantazji niemieckiego żydostwa, nie w rzeczywistości. Śmiertelna iluzja, której tak wielu kurczowo trzymało się do końca.

Jeszcze raz o dzieciństwie

Im bardziej pragnąłem wiedzy i nowych odkryć, tym bardziej wgłębiałem się w tomy o sztuce, w dzieła o wielkich rzeźbiarzach i malarzach, które były w bibliotece ojca i pozwalały mi na wgląd w świat sztuk pięknych. Ale pierwsze impulsy pochodziły od malowideł, które zdobiły ściany naszego mieszkania:

Leonardo da Vinci, Albrecht Duerer, Gottlieb, Rodin i Degas. Te dzieła były za chęcią do sięgnięcia do księżek o sztuce i poszerzania wiedzy o życiu i dziełach wielkich mistrzów...

Ale mam też wspomnienia naprawdę słodkie: ciastka, o tak ciastka lubiliśmy bardzo! Mama piekła rzadko, najczęściej kupowała je u piekarza. Nie tylko widok był kuszący, ale i zapach. Bez napoleonków, szneki czy ciasteczek anyżowych nie opuszczaliśmy piekarni! Niezapomnianym przeżyciem był tort czekoladowy. Ten wyjątkowy smakołyk oferowany był gościom niemiecko-żydowskiej cukierni Hirschlick w Poznaniu. Stałymi klientami cukierni byli przeważnie niemieccy Żydzi, którzy spotykali się w tym lokalu na kawie z ciastkiem czy przychodzili, żeby spokojnie poczytać gazety z całego świata. Cukiernia Hirschlick była wzorem renomowanego lokalu, a właściciele, pan i pani Hirschlick, znani powszechnie ze swej uprzejmości, dbali o przyjemną atmosferę. Czekali na gości za kasą przy drzwiach wejściowych i witali wchodzących z imienia lub nazwiska. Dzięki staraniom uprzejmych, nienagannie ubranych kelnerów zawsze znajdował się odpowiedni stolik i spełniane były wszelkie życzenia. Moi rodzice byli tam częstymi gośćmi i niekiedy zabierali nas z sobą. Cukiernia Hirschlick była najczęściej przepelniona, choć było tam zdumiewająco cicho, a gwar konwersującej gości był ledwie słyszalny.

Od progu witał nas silny aromat kawy i zapach ciasta. Zamawiane ciastka kelnerzy serwowali na okrągłej tacy przykrytej szklaną kopułą. Najwyższa część tortu pokryta była warstwą twardej czekolady, a poniżej następowały na przemian cienkie warstwy ciasta i kremu czekoladowego. Do tego szklanka wody



Ryc. 3. Hermann Steinitz ze swoją klasą w 1925 r.

mineralnej ze słomką: nic lepszego nie można było sobie wyobrazić! A dodatkowym „lakociem” były zapakowane w papierki kostki cukru.

„Wydalenie” z Niemiec

W październiku 1938 roku miało miejsce brutalne wypędzenie tysięcy Żydów z Niemiec do Polski. Chodziło o obywateli polskich żyjących w Niemczech, którym odmówiono prawa dalszego pobytu, choć mieszkali już tam z reguły od dawna i poza wyjątkami mówili tylko po niemiecku. Nagle znaleźli się bez środków do życia, w obcym kraju, skazani na szukanie kwatery i wsparcia. To wypędzenie było wyraźnym ostrzeżeniem dla ludności żydowskiej na wszystkich obszarach, których Hitler żądał wówczas od Polski.

W Poznaniu gmina żydowska była mała, tak że tylko niewielka liczba uciekinierów mogła znaleźć schronienie u rodzin żydowskich. Większość została zakwaterowana w szpitalu żydowskim, w bardzo skromnych warunkach. Łóżka oddawano do dyspozycji chorych, wszyscy inni leżeli na materacach. Brakowało najniezbędniejszych sprzętów. Smutny był los tych uciekinierów, niewiele nadziei i niewielkie widoki na nowy początek, chyba że ktoś miał rodzinę, która mogła pomóc. Ale tylko nieliczni mieli szczęście, opuszczali szpital i znajdowali przystań u pomocnych krewnych.

Moi rodzice przyjęli samotną matkę z małym chłopcem. Szukała krewnych i znalazła ich po kilku miesiącach we Lwowie. Nasza mama działała w żydowskiej organizacji dobroczynnej i brała udział w akcji pomocy dla wypędzonych. Uciekinierów trzeba było zaopatrzyć w ubrania, medykamenty, jedzenie, zabawki dla dzieci i inne artykuły codziennej potrzeby. Ta skromna pomoc, nawet jeśli potrzebna i ważna, nie zmieniała ich beznadziejnego położenia, im potrzebne były przede wszystkim własny dach nad głową i praca.

Czasem szliśmy z matką do szpitala. Wtedy pierwszy raz w życiu widziałem ludzi, których egzystencja została złamana w najhłebniejszy sposób i którzy w tym nieszczęściu skazani byli na pomoc i współczucie obcych. Czuli się zagubieni, nie znali języka, nie wiedzieli, co począć ze swoim życiem, byli zdesperowani. Smutny widok – starsi ludzie i rodzice z dziećmi koczujący na materacach, z najskromniejszym dobytkiem. Ten przeraźliwy widok prześladował mnie potem przez całą drogę powrotną, aż do progu naszego domu, gdzie wszystko było jeszcze po staremu. Ci wypędzeni w ciągu kilku minut stracili cały dobytek i podstawy egzystencji. Wydawałem się sobie szczęśliwcem, że oszczędzone mi były takie traumatyczne przeżycia.

Gmina żydowska w Poznaniu była głęboko poruszona losem tych wypędzonych i starała się ułatwiać im w miarę możliwości życie i wspierać w poszukiwaniach krewnych i przyjaciół. Oprócz pieniędzy zbieraliśmy, jak inni poznaniacy, zabawki, słodycze, sprzęty gospodarstwa domowego. Nasza pomoc nie mogła jednak złagodzić ich cierpień, ując ich losowi goryczy. Byli bezdomnymi, złamanymi ludźmi.

Obecność wypędzonych wprowadziła żalospny los Żydów niemieckich pod nasz dach. Ta smutna historia była wprawdzie komentowana w radiu i w gazetach, ale to, co sami widzieliśmy i słyszeliśmy, oddziaływało zupełnie inaczej.



Ryc. 4. Hermann i Salomea Steinitz, fot. z ok. 1938 r.

Żaden z żydowskich mieszkańców Poznania nie stał z boku, kto miał otwarte serce i potrafił pomóc, stawał do działania.

Podczas jednej z wizyt mojej matki wśród uciekinierów zdarzył się zawstydzający przypadek. Matka podarowała jakiemuś dziecku trójkołowy rowerek i ten rowerek temu dziecku siłą odebrał jakiś chłopiec. Matce malca nie udało się przekonać chłopca i jego matki, że ten prezent mu się nie należy i na próżno domagała się zwrotu. Mojej matce przypadło więc niewdzięczne zadanie upomnienia się u nieprzejednanej kobiety o zwrot trójkołki temu dziecku, które naprawdę miało być nią obdarowane (było zresztą znacznie młodsze). Reakcja kobiety była całkiem nieoczekiwana, obraźliwa i pospolita. W ataku wściekłości życzyła nam takiego samego losu, jaki dotknął jej rodzinę. Tego obłąkanego napadu nie zapomniałem przez całe moje życie. Ta kobieta nie widziała nigdy przedtem mojej matki, a chciała wykorzystać tę okazję, by komuś, kto był zupełnie niewinny, wykrzyzczyć całą swoją desperację. Prześladowana, obolała, bezdomna, chociaż doznała od nas tylko dobrego, obrażała moją matkę jedynie dlatego, że ta miała jeszcze swój dom. Przyglądałem się mamie, która kilka sekund stała zszokowana tym wybuchem nienawiści. Jej twarz zdradzała, co się działo w jej wnętrzu: była poruszona, nie powiedziała jednak ani słowa, spojrziała przelotnie na rozwścieżoną kobietę i odwróciła się od niej. Dla mnie zachowanie tej kobiety było całkiem niezrozumiałe. Jaki miała powód, żeby atakować moją mamę w ten sposób? Jej syn wydarł tę trójkołkę przemocą,

moje poczucie sprawiedliwości nie mogło się pogodzić z takim aktem przemocy [...]. W drodze do domu mama tłumaczyła nam, że ci ludzie zostali naprawdę straszliwie dotknięci przez los. Wszystko, co było im drogie, zrabowali naziści i wygnali ich do obcego kraju. W tej beznadziejnej sytuacji mieli wszelkie powody do zgorzknienia i desperacji. Ludziom w nieszczęściu, mówiła mama, nie można brać za złe nawet grubiańskiego zachowania. Dlatego matka nie brała za złe tej nieszczęśliwej kobiecie przekleństwa ciśniętego jej w twarz, które wkrótce w najokrutniejszy sposób stało się rzeczywistością. Była to przepowiednia czy ostrzeżenie? Wygnańcy byli przeświadczeni, że wojna z Polską jest tylko kwestią czasu, że decyzja już zapadła, a przygotowania są w toku. Oni nie mieli już nic do stracenia, a my jeszcze wszystko. Większość niestety nie traktowała zamiarów Hitlera dość poważnie, tymczasem Wehrmacht czekał tylko na rozkaz, a gdy ten padł, pokonali Polskę w ciągu niewielu dni.

Jeszcze raz o rodzicach i rodzinie

Po wielu latach spotkałem w Tel Awiwie na uroczystości upamiętniającej poznańskie ofiary Holocaustu byłego ucznia mojego ojca, który Poznań opuścił jeszcze przed wybuchem wojny. Miał fotografię dyrekcji Gimnazjum Schillera, był na niej ojciec i jego dwóch kolegów z kierownictwa szkoły. Pan Sonnabend podpisał tę fotografię: „Administracja gimnazjum Schillera, Poznań 1933: Prof. Steinitz, Dyrektor Vogt i magister Schultz”. Ta fotografia była dla mnie potwierdzeniem, jak szanowany był ojciec. Czciliśmy go. Był dla mnie nie tylko ojcem, ale i symbolem. W moich oczach reprezentował kogoś zupełnie innego, niż przedstawiali to antysemita w swoich złośliwych karykaturach. Byłem dumny, że mój ojciec był profesorem gimnazjalnym i że zaskarbił sobie szacunek i sympatię.

[...] Mama była urodzoną lady i pożądaną towarzyszką w każdym gronie. Nosiła melodyjne imię Salomea, które miało w sobie coś szlachetnego i świetnie współbrzmiało z jej serdeczną naturą. Jej rodzeństwo i ojciec zwracali się do niej zdrobniale „Steffi”, co było miłym dźwiękiem, jakoś do niej podobnym. Do taty mówili „Maenni”, co brzmiało o wiele przyjemniej i łagodniej niż „Hermann”.

Rodzice wspólnie dbali o nasz piękny dom urządzony z nadzwyczajnym smakiem i wyczuciem. Dzięki obu tym cudownym ludziom wzrosłem w kulturalnej, inteligentnej rodzinie. Im właśnie ponad wszelką wątpliwość zawdzięczam, że wytrzymałem w krytycznych sytuacjach i udało mi się w najdotkliwszych opresjach zachować człowieczeństwo.

Pierwsza ucieczka z Poznania

Kiedy wróciliśmy do Poznania po wakacjach 1939 roku, tysiące ludzi opuściło już miasto, podążając w kierunku wschodnim, w tym większość ludności żydowskiej, także rodzeństwo mamy z wyjątkiem ciotki Anny. Ciotka Mania, kolejna siostra matki, z rodziną znajdowała się już w Warszawie, lecz nie została żadnego adresu. O pozostałym rodzeństwie matki nie mieliśmy wiadomości. Mama przypuszczała, że jej ukochany brat Jurek zatrzymał się u swoich teściów w Krakowie.

Komunikacja kolejowa była do wyłącznej dyspozycji wojska. Wszystko, co miało koła, toczyło się na wschód. Nikt nie wierzył już w rozwiązanie pokojowe. W Poznaniu, jakieś 80 kilometrów od granicy niemieckiej, panował nastrój paniki i hysterii wojennej. Ojciec był przekonany, że Poznań będzie celem nalotów i że trzeba na krótko opuścić miasto. Problemem był brak środków transportu. Wszystkie taksówki były wynajęte i już w drodze. Matka podjęła się mimo tej beznadziejnej sytuacji trudnego zadania, by jednak znaleźć taksówkę. Ale z kolei nie wszyscy taksówkarze chcieli opuścić Poznań, gdyż obawiali się, że wybuch wojny uniemożliwi im powrót do rodzin.

Po wielu dniach starań mama znalazła taksówkarza, który zgodził się wwieźć nas za grube pieniądze. Taksówka była mała i ciasna i większość bagaży musiała zostać w domu. Ściśnięci jak sardynki wypełniliśmy auto. Każdy skrawek miejsca wewnątrz i na zewnątrz auta był wykorzystany na najniezbędniejszy bagaż. To było nie do pojęcia, że wczoraj byliśmy jeszcze na wakacjach, a dzisiaj uciekaliśmy. Z ciężkim sercem żegnaliśmy dom i udawaliśmy się w nieznanym kierunku, w obce strony. Rodzice nie myśleli jednak, by przenieść się w inne miejsce, lecz chcieli możliwie najprędzej wrócić do Poznania z nadzieją, że dom ocaleje od bombardowań. Nasz taksówkarz wykorzystywał boczne drogi, żeby przemieszczać się szybciej. Nie były, co zdumiewające, zatłoczone, choć w kiepskim stanie. Podróż z powodu stanu dróg trwała długo. Od czasu do czasu robiliśmy przerwę, by rozprostować zeszywniałe członki. Krótco przed zachodem słońca szukaliśmy kwatery, ale wszystkie drzwi, do których matka pukała, były zamknięte. Byliśmy zmęczeni, obolali i przygnębieni, że nie możemy znaleźć noclegu. Taksówkarz w końcu nie chciał już dalej jechać. Na skraju wsi podjęliśmy ostatnią próbę. Gospodarz obejścia widział nasze zmęczenie: matka błagała o pomoc, tłumaczyła, że możemy spać na podłodze. Tym razem mieliśmy szczęście, zgodził się wziąć taksówkarza do domu, a nas położyć w szopie. Przyniósł nam suchą słomę. Wreszcie miejsce na nocny spoczynek! Niezbyt wygodne, ale mogliśmy rozprostować kości. Twarde legowisko mi nie przeszkadzało, ale nie mogłem zasnąć z powodu motoru dudniącego za ścianą. Zaciągnąłem koc na głowę, zacisnąłem uszy rękoma i kocem, ale wszystko na nic. W końcu jednak zmęczenie zwyciężyło, gdyż nagle śmiertelnie przerażony wyrwałem się ze snu. W pierwszej chwili w ogóle nie wiedziałem, gdzie jestem i skąd pochodzi ten okropny hałas. W pomieszczeniu panowała całkowita ciemność, a ja, struchlały ze strachu, miałem wrażenie, że w naszym sąsiedztwie uderzają bomby i granaty. Przerażony wśliznąłem się w chłodną, jesienną noc.

Rodzice i Rudolf spali dalej. Zawinięty w koc, z bijącym sercem wsłuchiwałem się w otoczenie. Na zewnątrz panowała całkowita cisza. To ten motor wytrącił mnie ze snu. Uspokojony wróciłem i natychmiast zasnąłem znowu. Po raz pierwszy w życiu spędziłem noc na pokrytej słomą podłodze, jak uciekinier. Wtedy byłem przekonany, że ta podróż będzie krótkim, przejściowym epizodem i szybko wrócimy do domów.

Wcześniej rano ocknęliśmy się w wymiętych ubraniach, zaspani wstaliśmy, popatrzyliśmy po sobie nawzajem. Musieliśmy wyglądać żałośnie ze źdźbłami

słomy tkwiącymi w odzieży. Odświeżyliśmy się przy kurku z wodą, wyplukaliśmy usta, przyczesaliśmy się. Powitało nas promienne, poranne słońce i błękitne, prawie bezchmurne niebo. Powietrze było ożywcze, przyjemne, ale nie chłodne. Natura posyłała nam uśmiech, ale my nie byliśmy na przyjemnościowej wycieczce. Musieliśmy jak najprędzej jechać dalej, znaleźć jakieś mieszkanie i zwolnić niecierpliwego kierowcę.

Mama znów musiała użyć całej swej siły przekonywania, żeby kierowca co najmniej jeszcze tego dnia jechał z nami dalej, gdyż w tej miejscowości nie było żadnych widoków na znalezienie pokoju. Przed dalszą podróżą uprzejmy gospodarz przyniósł kilka szklanek ciepłej herbaty. Mama śniadanie dla nas przygotowała jeszcze w domu. Podziękowaliśmy serdecznie za gościnę, zapłaciliśmy za nocleg i ruszyliśmy w dalszą podróż.

W mijanych wioskach nie można było znaleźć mieszkania, domy były za małe, starczało miejsca tylko dla rodziny gospodarzy. Po kilku godzinach dotarliśmy do miejscowości, której mieszkańcy pracowali w położonym niedaleko centrum przemysłowym. Po obu stronach drogi wjazdowej stały jedno- lub dwupiętrowe domy okolone małymi ogródkami. Matka postanowiła spróbować w pierwszym z brzegu domu i zapukała do drzwi. Ku naszemu zaskoczeniu właściciele mieli właśnie wykańczane, jednopokojowe mieszkanie w tylnej dobudówce i byli gotowi je wynająć. Szczęśliwi, że nasza wyczerpująca podróż dobiegła końca, zataśmy bagaże do mieszkania. Nasi gospodarze wystarli się o dwa szerokie łóżka, stół, krzesła, komodę i naczynia. Co najpilniej potrzebne, stało do naszej dyspozycji. Dwa poprzednie dni nauczyły nas, jak skromne rzeczy mogą dawać najwyższe zadowolenie. Mozolna podróż się skończyła i najważniejsze, że mieliśmy dach nad głową.

Miejscowość robiła wrażenie spokojnej i zadbanej. Groźba wojny wywoływała niepokój społeczności tego małego osiedla, gdyż położony w pobliżu okręg przemysłowy z wysokimi kominami mógł być łatwym celem ataku lotniczego. Nie było tam Żydów, nasza gospodyni powiedziała nam, że kilka kilometrów dalej na wschód jest wieś zamieszkała przez ortodoksyjne rodziny żydowskie. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że we wschodnich częściach Polski były miasteczka i miejscowości zamieszkałe w większości przez Żydów.

Pierwszym zadaniem mamy było zdobycie pożywienia. Właścicielka domu powiedziała mamie, gdzie zrobić zakupy. Okazało się jednak, że został jeszcze tylko chleb, trochę warzyw, ziemniaki i masło, reszta poznikwała z pól. W naszym jednopokojowym mieszkaniu był prąd i bieżąca woda, ale brak nam było radia, żeby słuchać wiadomości. Właściciele mieli jednak aparat i informowali nas na bieżąco. Według najnowszych doniesień wojna była już nie do uniknięcia. Napięcie i niepewność zawisły także nad tą niewielką miejsciną.

Wczesnym wieczorem śmiertelnie zmęczeni padliśmy na łóżka. Następnego dnia, wyspani, spacerowaliśmy po ulicach osiedla, gdzie właściwie nie było nic do oglądania. Rodzice rozpytywali, jakie większe miasto jest w okolicy. Komunikacja autobusowa już nie funkcjonowała, uciekinierzy czynili użytek ze wszystkiego, co miało koła. Wielu szło piechotą. Nadchodził orkan i złąknieni ludzie ciągnęli ze swych domostw ku nieznanemu. Prawie nikt nie zostawał na

miejscu, prawie wszyscy włączali się w wędrówkę ludów, by odejść jak najdalej od granicy niemieckiej.

Rodzice zdecydowali jednak, by pozostać. Byliśmy już przecież poza przewidywanym przez Niemców „obszarem aneksji”. Nie pamiętam, niestety, nazwy miejsca naszego czasowego pobytu ani nazwy żydowskiej wioski, do której mieliśmy później zbiec na kilka dni po wybuchu wojny.

Początek katastrofy

Wczesnym rankiem 1 września obudził nas niezwykle odgłos silników, coraz głośniejszy i groźniejszy. Wyskoczyliśmy z łóżek do okien i zobaczyliśmy nad sobą eskadry niezliczonych samolotów z niemieckimi znakami. W panice wybiegliśmy z domu na łąkę i bez tchu padliśmy w wilgotną trawę. Kilka sekund później nieopodal nas eksplodowały pierwsze bomby, ziemia trzęsła się pod nogami, serce biło ze strachu, przygnałem do rodziców. Spóźniony alarm syren potęgował nasz niepokój, gdy nagle zbliżyła się kolejna ława samolotów. Miałem poczucie, jakby leciały kilka metrów nad naszymi głowami. Niezwykle był ogłuszający dźwięk syren samolotu, który rozdzierał się przed zrzuceniem bomb podczas ataku w locie nurkującym. To były tzw. sztukasy, niemieckie samoloty nurkujące. Wywoływały nie tylko ogromne straty materialne, ale i silnie oddziaływały psychologicznie. Jak sparaliżowani i drżąc na całym ciele, leżeliśmy w trawie. Opuściliśmy nasz dom w Poznaniu, by się schronić na wsi przed atakami lotniczymi, a teraz bomby eksplodują akurat obok nas. Złośliwa ironia losu.

Po kilku minutach samoloty zniknęły i nagle znów zapanowała cisza, czy nawet przerażający spokój. Drżąc, przeczekaliśmy jeszcze kilka minut w ukryciu, potem podnieśliśmy się ostrożnie i spojrzeliśmy w stronę terenów przemysłowych – gęste, czarne chmury dymu wznosiły się w niebo: budynki fabryczne stały w płomieniach. To był przerażający widok! Kto wie, ilu ludzi padło ofiarą niespodziewanego ataku lotniczego. Z sąsiednich domostw zrozpaczeni ludzie biegli w dzikim pędzie w stronę płonących budynków. Rodzice byli przekonani, że atak ten nie jest ostatni i postanowili natychmiast opuścić miejscowość, by w wiosce żydowskiej, o której słyszeliśmy, poszukać bezpieczniejszego schronienia. Ale nie zwolniliśmy naszego mieszkania i większą część bagażu zostawiliśmy pod opieką naszej gospodyni.

Schronienie w żydowskiej wsi

Na początku nie wiedzieliśmy, jak się do tej żydowskiej wioski dostać, ale mama to szybko ustaliła. Właściciel wozu konnego zaoferował, że nas zawiezie i tak zaczęła się nowa droga w nieznaną. Na szczęście wioska nie była daleko. Nie wiem, czy moi rodzice w ogóle wyobrażali sobie, jak tam wygląda i czy można znaleźć tam nocleg na kilka dni. Gdyby nas wydarzenia początku wojny tu nie rzuciły, nigdy nie poznałbym tej odległej, nieznaną żydowskiej wsi.

To była mała, biedna miejscowość z jedną ulicą i niewybrukowanym targowiskiem. Prawie wszystkie domy były z drewna i robiły dość żalotne wrażenie. Były bardzo niskie, przez okna można było łatwo zajrzeć do środka. Tylko

na skraju zabloconego targowiska stało kilka parterowych, murowanych domów pośród ciemnobrązowych, rozpadających się chat. Te murowane domy wyglądały w tym sąsiedztwie prawie jak pałace. Większość mieszkańców musiała żyć w wielkiej biedzie, inaczej nie można sobie wytłumaczyć stanu tych drewnianych domostw.

Kilka osób, które zobaczyliśmy, było ubrane zgodnie z ortodoksyjną tradycją żydowską. Mieli czarne stroje, brody i czarne kapelusze, spod których zwisały pejsy. Spodnie podwiązane pod kolanami i białe pończochy. Pierwszy raz widziałem Żydów w takim odzieniu, byli dla mnie istotami z całkiem innego, zupełnie obcego świata.

Na rynku matka postanowiła zapukać do jednego z murowanych domów. Wyszedł z niego starszy mężczyzna, nieubrany tradycyjnie, ale z jarmułką na głowie. Matka wytłumaczyła mu, skąd i dlaczego przybyliśmy i że szukamy schronienia na kilka dni. Mężczyzna wysłuchał uważnie i wziął mamę na podwórze sąsiedniego domu. Pamiętam to małe podwórko z kurami, kaczkami, kozami. Właściciel domu z żoną i gromadą dzieci wyszedł nam naprzeciw. Dowiedzieliśmy się, że ta rodzina sama ma tylko dwa pokoje z kuchnią, ale kilkoro dzieci byli gotowi umieścić u krewniaków, żeby jeden pokój nam podnająć. Nigdy przedtem nie widziałem rodziny z tyloma dziećmi, tak biednej i żyjącej w tak zacofanych warunkach. Nie mieli światła elektrycznego, bieżącej wody, gazu, łazienki, a toaleta znajdowała się w podwórzu. Ludzie i zwierzęta żyli razem. Byli zupełnie odcięci od cywilizacji. Między nami a mieszkańcami tej miejscowości była olbrzymia przepaść socjalna i kulturowa.

Mężczyzna, który uczynnie pośredniczył w wynajęciu pokoju, zaprosił nas na kolację. Rodzice chętnie to zaproszenie przyjęli i po krótkim wypoczynku zapukaliśmy do drzwi nowego sąsiada. Po powitaniach i poznaniu żony gospodarza siedliśmy do świeżo nakrytego stołu. Mieszkanie było wprawdzie małe, ale domu, w którym wynajęliśmy pokój, nie dało się z nim w żaden sposób porównać.

Małżeństwo było religijne, mężczyzna odmawiał modlitwę przed posiłkiem, jednak nie nosił brody i pejsów. Po kolacji mówiono o aktualnych problemach i troskach. Dorośli mieli dość powodów, by zastanawiać się nad kwestiami, na które nikt jeszcze nie znał odpowiedzi. Wieczorem przyszła wiadomość, że Niemcy wdarli się już głęboko na terytorium Polski, a obszar, na którym się znajdowaliśmy, był okrążony. Poznań był zajęty, a armia polska, poza kilkoma wyjątkami, na całym froncie w odwrocie.

Wciąż tysiące ludzi ciągnęło na wschód z nadzieją dotarcia do Warszawy. Nie miało sensu przyłączać się do tej rzeki ludzkiej. Nie było już raczej groźby nowych ataków lotniczych, rodzice postanowili wracać do Poznania.

Powrót do Poznania

Nie było innej możliwości dostania się do Poznania niż wóz konny. Musieliśmy się więc przygotować na dłuższą podróż i liczyć na dobrą pogodę. Czekala nas wielodniowa, niewygodna jazda i także same noclegi. Przynajmniej z pogodą mieliśmy szczęście – niebo było błękitne i świeciło promienne słońce.

Z tego powrotu do Poznania nie mam żadnych wspomnień oprócz zdumiewającej obserwacji, że po drodze i przy wjeździe do Poznania nikt nie pytał nas o dokumenty. W ostatnim dniu mozolnej podróży poznawaliśmy już sylwetki miejskich zabudowań. Pełni napięcia oczekiwaliśmy, aż dotrzemy do domu. Serce biło mi z emocji, myślami stałem już przed drzwiami naszego mieszkania. Ale wóz konny nie był tak rączy jak moje myśli. Nigdy żaden inny powrót nie wbił mnie w nastrój takiego podniecenia.

Moi rodzice siedzieli w milczeniu zatopieni w myślach. Mogę sobie wyobrazić, co ich właśnie zajmowało: jak najszybciej zapomnieć o niewygodach ostatnich tygodni i jak najszybciej przekroczyć próg własnego domu. Doświadczenia ostatniego czasu nauczyły mnie jeszcze bardziej cenić wartość naszego domu.

Ulice Poznania robiły na pierwszy rzut oka normalne wrażenie. Tramwaje i inne środki komunikacji kursowały jak zawsze, obecność niemieckich żołnierzy i pojazdów była ledwie zauważalna. Pierwsze wrażenia były więc uspokajające, co jednak okazało się żalonym złudzeniem, gdyż im bliżej centrum, tym napotykaliliśmy coraz więcej niemieckich patroli. Różnice między SS a Wehrmachtem były dla nas zrazu nierozpoznawalne, ale szybko odkryliśmy niepokojące trupie główki na czarnych mundurach i czapkach. SS było ramieniem Hitlera sięgającym do Poznania i symbolem niemieckiej okupacji. Esesmani z trupimi czaszkami budzili lęk i przerażenie.

Serce biło mi z niepokoju i narastającej niecierpliwości. Każda minuta jazdy trwała wieczność i gdy wreszcie dojechaliśmy do ul. Kochanowskiego i zobaczyliśmy naszą kamienicę w bezpośredniej bliskości, stanąłem na wozie i wykrzykiwałem na cały głos: „To jest nasz dom! To jest nasz dom!”.

Wóz zatrzymał się przed drzwiami. Brat i ja nie potrafiliśmy ukryć radości, zeskoczyliśmy z wozu i popędziliśmy do wejścia. Podnieceni zadzwoniliśmy do dozorczyńni. Ale gdy pojawiła się – tymczasem ojciec otworzył już drzwi wejściowe – jej poważny, zafrasowany wyraz twarzy nie zapowiadał nic dobrego. Coś bardzo nieprzyjemnego musiało się zdarzyć...



Ryc. 5. Helmut Steinitz, fot. z końca 1945 r.

Poinformowała nas, że kilka dni wcześniej nasze mieszkanie zostało skonfiskowane i zabezpieczone przez gestapo. Z przerażenia odjęło nam mowę, jak wrośnięci w ziemię staliśmy przed tą kobietą. Rozbici i bezradni, nie wiedząc, co czynić, zdesperowani weszliśmy po schodach na górę i stanęliśmy przed naszym zamkniętym mieszkaniem. Na drzwiach zobaczyliśmy pieczęcie ze znakiem gestapo i napis „Żydzi”. Szok, niewiarygodnie bolesny szok! Nie mogliśmy pojąć, że staliśmy się nagle bezdomni, wyrzuci z całego naszego mienia. Byliśmy wywłaszczeni i bezdomni. I to nie był sen...

PRZYPISY:

¹ E.R. Wiehn, *Die heilige Pflicht zu berichten*, [w:] Zwi Helmut Steinitz, *Als Junge durch die Hoelle des Holocaust. Von Posen durch Warschau, das Krakauer Ghetto, Płaszow, Auschwitz-Birkneau, Buchenwald, Berlin-Haselhorst, Sachsenhausen, Schwerin und ueber Neustadt, Bergen-Belsen und Antwerpen nach Erez Israel 1927–1946*, Herausgegeben von Erhard Roy Wiehn, Hartung-Gorre Verlag Konstanz 2008, s. 13. To już drugie wydanie pamiętnika, które było podstawą obecnego przekładu. Wybrane fragmenty pochodzą ze stron: 61–63, 65–66, 84–85, 91–92, 109–112, 117–127. Wybór, skróty i tłumaczenie autoryzowane przez H. Steinitza. Pierwodrukiem pamiętnika było wydanie hebrajskie z 2003 r., Cwi Helmut Steinitz, *Makom Elav Lo Shavti Leolan*, Tel Aviv 2003. Wkrótce ukaże się wydanie angielskie, Zwi Helmut Steinitz, *As a boy through the hell of the Holocaust. From Posen through Warsaw, the Kraków Ghetto, Płaszów, Auschwitz, Buchenwald, Berlin-Haselhorst, Sachsenhausen, to Schwerin and over Lübeck, Neustadt, Bergen-Belsen and Antwerp to Eretz-Israel 1927–1946*, Edited by Erhard Roy Wiehn, Hartung-Gorre Publishers Konstanz 2009.